



RADOSŁAW BUDKIEWICZ

SZEPT UMARŁYCH

RADOSŁAW BUDKIEWICZ

SZEPT UMARŁYCH

© Copyright by Radosław Budkiewicz & e-bookowo

Korekta: Marta Bluszcz

Skład: Katarzyna Krzan

Projekt okładki: Radosław Budkiewicz

Grafika na okładce: pixabay/Enrique Meseguer

ISBN e-book: 978-83-8166-452-3

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione.

Wydanie I 2025

Jak zawsze, dla mojego taty.

Część pierwsza

Żałoba

Rozdział 1

Jeden strzał

Nie mógł znaleźć rewolweru.

Zawsze chował go w tym samym miejscu, w szafie na górnej półce. Tuż za pudłem, w którym Penny trzymała swój wyjściowy kapelusz. Teraz, choć okrągły karton leżał tu, gdzie zawsze, szkatułki z rewolwerem brakowało. W pierwszym odruchu Benjamin Murnau chciał nawet zawołać żonę, zapytać, gdzie, do licha, jest broń, ale powstrzymał się. Nie mógł jej tego zrobić. Dość już wycierpiała z jego winy, a i sam nie miał odwagi poprosić kobiety o pomoc. Nie w takiej sytuacji.

Westchnął więc i kontynuował poszukiwania. Potrzebował rewolweru. Nie miał siły na nic więcej, jak tylko sięgnąć po spluwę i pociągnąć za spust. Nie mógł dłużej walczyć, a utrata pracy była kroplą przelewającą czarę goryczy. Zawiodł jako małżonek i jako mężczyzna.

Nie potrafił dołączyć do Ku Klux Klanu¹! Nie chcieli go tam! Co z niego za facet?!

¹ Ku Klux Klan – amerykańska organizacja skupiona wokół ekstremistycznych nienawistnych ideologii, istniejąca od 1865 roku.

Z tą pełną wstydu myślą Murnau sprawdził całą szafę, zajrzał pod łóżko, ba, przeszukał nawet toaletkę Penny. Po kilkunastu minutach, gdy pot spływał mu strużkami po czole i plecach, a koszula lepiała się do ciała, zrozumiał, gdzie popełnił błąd. Był tak rozkojarzony i zmęczony, że najbardziej oczywiste rozwiązania mu umykały.

Przecież wczoraj wieczorem czyścił broń, odwlekając sen dopóty, dopóki miał siły.

Rewolwer, pocziwa trzydziestka ósemka produkcji Smith & Wesson, wraz ze szmatką, olejem i wyciorem czekał w pamiątkowej szkatułce na niskim stołku w salonie. Przy popielniczce, przy paczce papierosów.

Benjamin zgarnął paczkę cameli i broń, czując dziwną ulgę i spokój – pierwszy raz od dłuższego czasu tak po prawdzie. Uśmiechnął się do żony zmywającej po skromnym śniadaniu. Podszedł od tyłu, odgarnął jej włosy od zawsze przypominające mu rdzę, pocałował w policzek – na pożegnanie, o czym jednak Penny nie wiedziała – i wrócił do sypialni. Tam otworzył szkatułkę i uderzyły go wspomnienia.

To pamiątka ze ślubu. Niemal dekadę temu eleganckie, wiśniowo-hebanowe drewno kryło w sobie tuzin przednich cygar, ale teraz, po tylu latach, nie zostało już żadne. Ich miejsce zajął sześciostrzałowy rewolwer, poręczny i doskonale wyważony. Wypolero-

wana stal błyszcząca w czerwcowym, porannym słońcu. Matowa barwa orzechowego drewna rękojeści zdawała się jarzyć ciepłym blaskiem.

Na broni produkowanej przez S&W można było polegać. Nigdy nie zawodziła, a nawet jeśli, to byle laik mógł ją naprawić i doprowadzić do stanu niemal fabrycznego. Benjamin dbał o ten kawałek żelastwa, czyścił go regularnie i zawsze powtarzał żonie, gdzie jest broń, amunicja, co ma robić, gdyby zaszła potrzeba użycia rewolweru albo gdyby czarnoskórzy zaczęli sobie pozwalać za dużo.

Nie spodziewał się jednak, że to on będzie zmuszony pierwszy strzelić.

Usiadł. Wsłuchiwał się w odgłosy płynące z kuchni; Penny nuciła jakąś piosenkę, kontynuując zmywanie. Przez chwilę siedział bez ruchu, słuchając głosu żony. Nuciła chyba „In a Shanty in Old Shanty Town” Teda Lewisa.

Zapalił papierosa. Siedział, rozkoszując się jego aromatem. Powoli odchylił dobrze naoliwiony bębenek, wsunął jeden jedyny pocisk. Więcej nie potrzebował. Pudełko, tę piękną szkatułkę, którą ciągle czuć było mocnym aromatem tytoniu, odłożył na właściwe miejsce do szafy. Zasłonił nawet pudłem z kapeluszem Penny, a sam znów usiadł na brzegu łóżka, z dala od zasłon,

które sama przecież uszyła, i poduszek, których poszwy też wyszły spod jej ręki. Nie chciał, by żona miała dużo do sprzątania. Nie chciał, by cierpiała bardziej niż on. Dość się napatrzył na jej ból, tak na jawie, jak i podczas sennych koszmarów.

Nie zapewnił jej tego, co obiecał. Zamiast zamieszkać w Nowym Orleanie, w okolicach French Quarter czy Treme, trafili tutaj. Marzenia o własnym mieszkaniu – albo nawet i domu – z widokiem na Rue Bourbon zamienili na cywilną parafię na krańcu stanu, gdzie urodziła i wychowała się Penny. Trafili do domu jej rodziców, bo na nic innego nie było ich stać. Jego rodzinny dom leżał w zapomnianej przez Boga wsi między Nowym Orleanem a Cameron. Wybór był oczywisty.

Klan, jedyna nadzieja na poprawę statusu, odrzucił go. Został wyśmiany. Był w rezydencji starego Levasseure'a, prosząc o pomoc, o pracę, bo stracił posady na wyspie i w jej sąsiedztwie. Cóż więc mu pozostało? Honorowe zejście z tego świata, ot co! Śmierć na własnych warunkach!

Zaciągnął się znowu papierosem. Ostatnim, tak metaforycznie i dosłownie. To był ostatni camel w paczce i ostatni w jego życiu.

Budowa kanału Calcasieu Ship Channel dobiegła końca już dawno, zanim przyjechali do Cameron, więc

nie mógł liczyć na nic dobrego. Każdy sensowny wakat był zajęty, zaś prace przy Monkey Island musiały zostać przerwane z powodów finansowych. Nie wiadomo, kiedy – i czy w ogóle – zostaną wznowione. Ludzie tacy jak on, pracujący fizycznie, nie byli już potrzebni. Dostali garść dolarów w postaci ostatniej wypłaty i tyle, żadnego „do widzenia” czy „odezwiemy się”.

Nie zamierzał jednak, wzorem innych, topić smutków w alkoholu. Jakoś wątpił, czy księżycówka by pomogła. Zresztą, nie było go na nią stać, a w speakeasy przesiadywali członkowie Klanu. Nie chciał im patrzeć w oczy.

Spojrzał na rewolwer. Uśmiechnął się nawet. W końcu zazna spokoju, za ogromną cenę co prawda, ale wreszcie odetchnie z ulgą. Nie będzie cierpiał. Jego życie to ostatnia rzecz, nad którą jeszcze panuje, z którą może zrobić, co tylko zechce...

Benjamin westchnął. Zamknął oczy i delektował się papierosem.

Kilka minut później drgnął, czując kojące zimno rewolweru dotykającego podbródka. Odetchnął głęboko, wdychając zapach smaru i oliwy. Skrzywił się, czując tłusty posmak na języku. Nie wahał się jednak, wiedział, co chce zrobić.

Nie był potrzebny. Co z niego za mąż, skoro nie potrafił zachować pracy, by utrzymać żonę, dom? Co

z niego za mężczyzna, jeśli Klan traktuje go niemal jak czarnoskórego?

Z oczu pociekły mu łzy, gdy nacisnął spust, kończąc swe męki i niestety zrzucając je wszystkie na żonę. Penny, chudziutka i niewysoka kobieta w modnie upiętej fryzurze sięgającej trochę poniżej linii szczęki skuliła się, słysząc nagły huk. Przerwała natychmiast nucenie piosenki. Bała się ruszyć. Stała w kuchni przy zlewie, spocona i zmęczona; jasna sukienka w kwiatki, sięgająca trochę poniżej kolan, lepiała się do jej pokrytego potem ciała, a dłonie i przedramiona, pełne mydlin, zamaryły zaciśnięte mocno na brzegu talerza.

– Benjamin? – zapytała drżącym głosem. – Ben? – powtórzyła, przeczuwając najgorsze. Nie otrzymawszy odpowiedzi, rzuciła talerzem, nie bacząc na to, że tania ceramika roztrzaskała się na drobne kawałki. Pobiegła do sypialni, mając wrażenie, że serce zaraz wyrwie się z jej piersi. Sznur pereł, prezent od męża, z którym nie rozstawała się od dnia ślubu, grzechotał nerwowo. Wytarła pospiesznie mokre od wody i potu dłonie o sukienkę. Krzyknęła, widząc martwego ukochanego.

Krzyk ten – wrzask po prawdzie, pełen bólu i zgrozy – słyszeli wszyscy wokoło. Domy w tej części Cameron nie były duże, ot, parterowe, małe budynki z drewna, z szeroką werandą i spadzistym dachem pokrytym

drewnianym gontem, z szeroko otwartymi oknami umożliwiającymi zwabienie słabego podmuchu wiatru. Niósł się więc daleko, wprost do sąsiadów.

Paniczny krzyk młodej kobiety, a także poprzedzający go huk wystrzału zaalarmowały wszystkich dokoła. Z domów wyszło kilka zaniepokojonych osób. Tu stał stary Watkins, czerwony na twarzy, bo mimo lejącego się z nieba żaru nie zamierzał rozstawać się ze swoim grubym, żeglarskim swetrem. Tam przerażona Linda tuliła do siebie zapłakane niemowlę. Tutaj wyleciał spanikowany Broussard ze swoim synem nerwowo poprawiającym okulary, a dom dalej młoda Tédard zatrzaśniała właśnie okna i drzwi, nie chcąc mieć nic wspólnego z zamieszaniem.

Starszy z Broussardów od razu zrozumiał, co się mogło stać – mało to było wypadków podczas czyszczenia broni? Przecież nawet i Elijah, choć myśliwy, stracił w ten sposób palec nie dalej jak pod koniec wiosny, pomyślał przejęty lękiem.

Czym prędzej nakazał więc synowi gnać po lekarza, samemu zaś pomknął do domu sąsiadów. Był niepozornym człowiekiem, chudzielcem w masywnych okularach wiszących na garbatym nosie, o twarzy nieodznaczającej się w tłumie. Ale zareagował jako pierwszy. Wyróżniał się nie wyglądem, lecz zachowaniem. Po-

gonił gapiów, krzycząc, że to nie przedstawienie, rzucił francuskim przekleństwem i pobiegł do domu Benjamina i Penny, obawiając się najgorszego.

Ledwo przekroczył próg, a usłyszał żalosne zawođenje kobiety. Nie mylił się.

Nie zawracał sobie głowy konwenansami, tylko biegł przed siebie. Kątem oka dostrzegł rozbity w kuchni talerz, leżącą luzem ścierkę, wysychające już plamy po wodzie i mydlinach na podłodze. Zamarł jednak, gdy wszedł do sypialni. Tam bowiem, na łóżku, zastał swoją sąsiadkę tulącą martwego męża.

Ben nigdy nie był szczególnie przystojnym mężczyzną. Średniego wzrostu chuchro z krzaczastymi brwiami i ciemnymi włosami pociągniętymi najtańszą pomadą, w zwykłych, roboczych spodniach i koszuli z wiecznie podwiniętymi rękawami. Normalny, porządny Amerykanin, tak jak on.

Teraz jednak wyglądał znacznie gorzej. Oczy, niegdyś jasne i pełne życia, były blade, przywodziły na myśl rybie, bezduszne ślepie. Z ust i nosa sączyła się posoka, podobnie zresztą było z potylicą. Ciemne włosy miał mokre, jucha spływała gęsto, brudząc wszystko. Broussard bał się spojrzeć dalej – na pościel i poduszki brudne od tego, co kryło się wewnątrz czaszki sąsiada.

Penny płakała. Wyła w rozpacz, tuląc do piersi nieruchome ciało. Nie przejmowała się krwią brudzącą jej sukienkę, ręce, a nawet twarz i włosy, których ruda barwa zdawała się odzwierciedlać paskudzącą wszystko posokę. Raz za razem całowała czoło Bena, błagając go, by się obudził, by przestał udawać. Nie patrzyła na gościa. Być może nie wiedziała, że w ogóle do niej przyszedł.

Nathaniel Broussard ze zgrozą powiódł jednak wzrokiem po łóżku. Pościel, zwykle nieskazitelnie biała i czysta, teraz upstrzona została szkarłatnymi plamami niczym płatkami róż. Poduszki i ścianę znaczyły fragmenty kości i mózgu. Narzędzie zbrodni Benjamin ciągle trzymał w dłoni. Rewolwer lśnił czystością. Nawet z daleka Broussard czuł zapach smaru, przebijający się przez swąd kordytu, i smród krwi.

– Pani Murnau? Penny? – zaczął cicho, nie wiedząc, jak się zachować. Nie miał chęci ni odwagi podejść do zrozpaczonej kobiety, by oderwać ją od ciała męża. Musiał czekać, aż syn wróci z doktorem Mitchellem. Jego gabinet nie był daleko. Sam nic tu nie zdziała.

Penelope raz jeszcze złożyła pocałunek na czole samobójcy, wyszeptala jego imię i zaczęła kołysać męża, tak jak kołysałyby niemowlę. Nie zwracała w ogóle uwagi na stojącego obok mężczyznę. Płakała, prosiła, a w końcu i krzyczała, by Benjamin na nią spojrział.

Gdy kilka minut później – wieczność, zdawać się mogło – usłyszeli warkot samochodu, tylko Nathaniel zareagował. Odstąpił od zrozpaczonej kobiety i wyszedł na werandę. Odetchnął z ulgą. Nic tu po nim, wszystkim musi się zająć doktor Mitchell. Ebenezer będzie wiedział, co powiedzieć i...

Broussard uśmiechnął się, widząc, jak z forda wysiada nie tylko lekarz, ale i sam szeryf Liam Bruckner. Pospieszył do obu mężczyzn, rozglądając się w międzyczasie, czy gdzieś jest jego syn. Młodziak musi pewnie sam odreagować. Może nawet poleciał do baru Fontenota?

Rozmowa była krótka, acz treściwa, choć po prawdzie Nathaniel później nie potrafił sobie jej przypomnieć. Stres go zjadał, pamiętał jedynie, że streścił, co się stało, i załamał ręce, mówiąc o Penelope.

Szeryf, człek wysoki i żyłasty, ze szpakowatymi włosami, w mocno wykrochmalonym mundurze, milczał. Kiwnął lekko głową. Zdjął kapelusz, zaciągnął się mocniej ostatkiem papierosa i wszedł do środka jako pierwszy. Lekarz włókł się z tyłu, a że był chudy i drobny, o ziemistej cerze i przetłuszczonych włosach, wydawał się chory i słabowity. Upał mu nie służył, widać było od razu.

Otarł twarz z potu jedwabną chustką. Sapnął, narzekając na skwar. Skromny garnitur z cienkiej wełny wisiał na nim jak na wieszaku. To wszystko tworzyło mylące

wrażenie, bo Mitchell był fachowcem, doświadczonym i uzdolnionym, choć cynik był z niego okrutny.

Na powitanie wspomniał, że młoda panna Nelson czuje się coraz gorzej.

– Panna Nelson pożegna się z tym światem pręcej niż później, osieroci dziecko i zostawi męża, jakby mało nam było problemów – mówił, a mężczyźni rozmawiali chwilę o kobiecie tak, jakby była rzeczą; bardziej liczyło się dla nich dobro dziecka. Szybko jednak musieli porzucić ten temat.

Teraz liczyła się bowiem Penelope. Szeryf poprosił zapłakaną kobietę do siebie. Raz, drugi, aż w końcu zwróciła na niego uwagę. I tym razem Nathaniel nie był w stanie przypomnieć sobie dokładnych słów; krótka wzmianka o pannie Nelson wbiła mu się w umysł, tak jak widok Penny i trupa jej małżonka.

Mitchell nie musiał długo nalegać. Wiedział, że była w szoku, wystarczyło więc odpowiednio poprowadzić rozmowę, by zwrócić jej uwagę. Potem tylko szarpnął szczupłą kobietą, odrywając ją od męża. Nie oponowała. Nie miała sił. Lekarz, mimo słabowitej postury, dopadł ciała, choć nie musiał tego robić. Widział aż za dobrze, że Ben jest martwy. Dla formalności sprawdził puls, przyłożył ucho do ust, uszczypnął w policzek. Z szacunkiem zamknął mu oczy, mamrocząc coś pod nosem.

Potem zajął się wdową.

Poddała się badaniu, wykonując polecenia niby automat. W tym samym czasie Bruckner, wspierany przez Broussarda, oglądał zwłoki Benjamina. Nie było wątpliwości, że to samobójcza śmierć. Straszliwa, to prawda, ale bez udziału osób trzecich. Szeryf kucnął przy łóżku. Patrzył to na dłoń denata, ciągle zaciśniętą na rewolwerze, to na jego ciało, to na plamy krwi, to na ostatniego wypalonego przezeń papierosa. Było jasne, co tu się stało. Jak? Nikt nie miał wątpliwości. Dlaczego? To już inna kwestia.

– *Pauvre, tite bête*²... – odrzekł cicho Mitchell, zwracając się do szeryfa. – Szok. Fizycznie jest zdrowa, ale psychicznie trudno rzecz. Ryan był w podobnym stanie, bał się zasnąć, trwał w katatonii, aż po prostu stracił przytomność z wyczerpania – porównał stan Penny do innego pacjenta.

Murnau nie reagowała, zapłakana siedziała na krześle w kuchni. Dławiła się własnymi łzami, cały czas patrzyła na złotą obrączkę na palcu, drugą dłonią zaś dotykała sznura pereł wiszącego u szyi. Nie wydawała się przejmować krwią na dłoniach, twarzy i na kilku perłach.

Krwiał należąca do jej męża.

– Ona nie jest Ryanem. To kobieta, a nie zahartowany rybak.

² *Biedactwo* (cajun).

– Ryan Cook? – dopytywał Broussard, nie wierząc swoim uszom. Znał go, słyszał plotki, nie do końca im jednak ufał. Mitchell skinął głową w odpowiedzi. Mnóstwo ludzi miało mniejsze bądź większe problemy jeszcze przed kryzysem sprzed czterech lat, a teraz... lawina ruszyła.

– Samobójstwo zaskakuje każdego, a Ben najpewniej zachlał się i palnął sobie w łeb, ewentualnie podpadł Lesterowi albo Miltonowi. Nigdy nie ufałem tym sukinsynom, ale też nigdy ich na niczym nie przyłapałem – stwierdził ponuro Bruckner, nie zdając sobie sprawy, co powiedział.

– Nie pił – odparł lekarz, kręcąc głową. – Nie czuć alkoholu.

– Lester? Milton? Chryste panie, szeryfie, pan nie mówi chyba... ale że niby... oni mieliby Bena...

– Nie, nic nie sugeruję. Głośno myślę. Panie Broussard, czy wie pan może... – zwrócił się do stojącego opodal mężczyzny, nie zdołał jednak dokończyć. Wdowa poderwała się gwałtownie i pobiegła do męża, mając w pamięci słowa o pijaństwie.

– Pani Murnau, *non*³! – zawołał Mitchell. – Proszę tam nie wchodzić!

Mógł jednak tylko krzyczeć. To szeryf rzucił się za kobietą, złapał ją w pasie i uniósł nieznacznie, sa-

³ *Nie* (franc.)

piąc przy tym jak parowóz, i wycofał się na powrót do kuchni. Penny płakała, krzyczała niezrozumiałe słowa i próbowała się wyrwać z jego objęć, chciała być przy mężu, tam było jej miejsce. Machała w powietrzu nogami, piszczała. W końcu uderzyła glińiarza, wbiła mu łokieć w żebra.

Liam skrzywił się z bólu, ale zignorował to. Dopiero gdy Penny w napadzie furii próbowała się odwrócić i przeorać mu twarz paznokciami, by ją puścił, musiał jakoś zareagować. Rzucił szybkie spojrzenie w stronę Mitchella i Broussarda, prosząc ich o pomoc. Lekarz skinął głową, postępując do przodu.

Szeryf odstawił oszalałą kobietę, ryzykując wiele. Cofnął się też o krok. Ebenezer od razu ją spoliczkował, a choć dłoni nie miał ciężkiej czy twardej, skutek był wystarczający. Penelope zachwiała się, tyleż pod wpływem bólu, co po prostu zaskoczona tak nagłym gestem. Chwilę później osunęła się na kolana, wyjąc jak małe dziecko.

– Szlag by to – rzucił szeryf. – Nie trzepnąłeś jej za mocno? Panie Broussard, pan widział, jak się rzuciła. Jest pan świadkiem, że trzeba to było zrobić.

– Tak – szepnął Nathaniel, czując, jak się poci ze strachu i gorąca.

– Czasami tak trzeba, szeryfie. Podobnych do niej zapinałem w pasy swego czasu, ale ona... drobna jest.

Chuda. Furia i wściekłość swoje robią, ale nie ma masy, by bardziej kogoś skrzywdzić. Lepiej nie spuszczać z niej oka przez parę dni, dla spokoju.

– Boże jedyny – mruknął Broussard. – Jak sobie przypomnę, co się z moją Anne stało... Liam, ja też tak zawodziłem?

– Tak. Kląłeś na cały świat, z łapami do księdza nawet startowałeś. Szczęście, że Dupré to dobry człowiek i w zgodzie z Pismem drugi policzek nadstawiał od razu.

– Chryste – zmieszał się. W listopadzie minie równe pół dekady od śmierci jego żony.

– Nie wniosę oskarżenia ze względu na obecną sytuację – mówił dalej szeryf – ale dla jej własnego dobra weź ją do siebie, Ebenezer. Daj jakieś proszki, nie wiem, co tam masz, a potem przyślij tu Wyatta, rozumiesz? Nie chcę cię dręczyć, ale podobno Ben próbował się do was zapisać, a wy żeście mu odmówili czy coś...

– Zapisać? – zapytał cicho Broussard, nim zrozumiał, o czym mowa. Ku Klux Klan nie stanowił żadnego sekretnego klubu, po prostu to była paranoiczna organizacja.

– *Oui*⁴. Chciał zostać członkiem Klanu – uściślił lekarz. – Wielki Cyklop⁵ nie wyraził zgody, jakkolwiek by

⁴ *Tak* (franc.)

⁵ Wielki Cyklop – stopień w hierarchii Ku Klux Klanu; Stany Zjednoczone uznane zostały za Niewidzialne Cesarstwo kierowane

to okrutnie brzmiało. Benjamin nie było stać na płacenie składek. To wszystko.

– Boże – jęknął sąsiad.

– Nate, wybacz, żeś musiał to wszystko widzieć, słyszeć.

– Rozumiem, Liam, rozumiem – odparł tamten, blady, spocony.

– Pani Murnau, słyszy mnie pani? Penny? Proszę za mną.

Penelope niechętnie wstała z klęczek. Rzuciła pełne rozpaczy spojrzenie w stronę sypialni. Łzy znów puściły się z jej oczu, lecz tym razem nie biegła do ukochanego. Podała się ramionom lekarza. Pozwoliła zaprowadzić się do zaparkowanego nieopodal samochodu. Ford w modelu T nie grzeszył nowością, ale nie był też starociem, mógł mieć góra siedem lat. Dla wielu i tak był szczytem możliwości. Dla innych nieosiągalnym luksusem.

Siadając na tylnej kanapie, Penny zauważyła, że wnętrze pojazdu śmierdzi nie tylko jodyną, ale także i alkoholem. Lekarze mieli jednak pełne prawo korzystać z tychże substancji. Prohibicja czy nie, alkohol doskonale sprawdzał się w przypadku dezynfekcji ran i narzędzi. Gdy silnik zaryczał, Murnau przez łzy dostrzegła kilku sąsiadów przyglądających się zajściu.

przez Wielkiego Maga. Każdy stan stanowił królestwo pod władzą Wielkiego Tytana, któremu podlegali Wielcy Olbrzymi i Wielcy Cyklopi.

– Cholera by to wzięła, Liam – żalił się Broussard. – Taka porządna rodzina...

– Ben był na skraju, co zrobisz. Robotę stracił, próbował łąpać się Klanu... Nie wyszło mu, a teraz pochówek trzeba zorganizować.

– Przecież ojciec Dupré nie zgodzi się pogrzebać samobójcy!

– Ale trzeba biedaka szybko pochować, Nate. W takiej spiekocie ciało nie wytrzyma długo. Póki nie przyjedzie Wyatt, przypilnuj, by nikt tu nie łąził, dobrze? Zwłaszcza dzieciaki, dość tragedii jak na jeden dzień. – Zapalił kolejnego papierosa, nałożył kapelusz na czerep i wrócił do sypialni. Tam przygotował ciało do transportu. Wątpił, by Penny chciała zachować zakrwawioną pościel, więc owinął Bena tanią bawełną, a rewolwer odłożył na bok. Później się nim zajmie.

Były rzeczy ważne i ważniejsze.

Jedną z nich stanowiły rozmowy z sąsiadami, czy widzieli coś podejrzanego, słyszeli jakieś kłótnie, cokolwiek, co mogłoby wykluczyć samobójstwo. Drugą był problem, jak słusznie zauważył Broussard, tyczący się księdza.

Spis treści

Część pierwsza Żałoba	5
Rozdział 1 <i>Jeden strzał</i>	6
Rozdział 2 <i>Na dnie</i>	23
Rozdział 3 <i>Wszystko ma swoją cenę</i>	38
Rozdział 4 <i>Grzech pierwszy z wielu</i>	48
Rozdział 5 <i>Obecność zła</i>	71
Rozdział 6 <i>Katzenjammer</i>	98
Rozdział 7 <i>Ofiary lat trzydziestych</i>	112
Rozdział 8 <i>Prawa boskie i ludzkie</i>	128
Rozdział 9 <i>Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli</i>	145
Część druga Ciemność	163
Rozdział 10 <i>Wieczysta służba</i>	164
Rozdział 11 <i>Koszmarna rzeczywistość</i>	174
Rozdział 12 <i>Przelana krew</i>	187
Rozdział 13 <i>Wyrzuty sumienia</i>	209
Rozdział 14 <i>Cmentarna szychta</i>	228
Rozdział 15 <i>Spowiedź</i>	240
Rozdział 16 <i>Postępujący mrok</i>	255
Rozdział 17 <i>Ziemia poświęcona krwią</i>	275
Rozdział 18 <i>Rany</i>	289
Rozdział 19 <i>Sprzeczne uczucia</i>	304
Rozdział 20 <i>Wierzący i ochrzczeni</i>	320
Część trzecia Cierpienie	341
Rozdział 21 <i>Krok za tobą</i>	342
Rozdział 22 <i>Głosy żywych i umarłych</i>	355
Rozdział 23 <i>Błuzniercza religia</i>	366
Rozdział 24 <i>Jak dziecko we mgle</i>	380
Rozdział 25 <i>Czarne Serce</i>	390
Rozdział 26 <i>Cień nad bayou</i>	400
Rozdział 27 <i>Kłątwa</i>	412
Rozdział 28 <i>Zło jest wszędzie</i>	422
Rozdział 29 <i>Śmierć to tylko początek</i>	437